

KTOŚ B

ROZMOWA z RYSZARDA HANIN, aktorką

● Z „Dykcjonariusza teatralnego” dowiedziałam się, że „W żołnierskim teatrze I Armii Wojska Polskiego — gdzie Pani debiutowała — kostiumy szły ze starych mundurów i prześcieradeł, a reakcje publiczności nie miały sobie równych...”. Co pokazywaliście w tym teatrze poza „Ślubami panińskimi” Fredry?

— Wśród nas znaleźli się także poeci: Leon Pasternak, Adam Ważyk. Tworzyli, można powiedzieć, nowatorską dramaturgię zgodną z możliwościami inscenizacyjnymi. Nie były to ani składanki poetyckie, ani w dosłownym rozumieniu, dramaty sceniczne. Raczej coś, co można by w przybliżeniu nazwać sceniczną poezją. Zresztą nie chodzi chyba o precyzję określeń. Nie wiele tekstów przetrwało do dzisiaj. Pamiętam „Bał u saperów” Pasternaka, „Nocleg” Ważyka. „Z pieśnią do kraju”, „Oka” Pasternaka i „Marsz Korpusu” Ważyka przetrwały z tych spektakli. Natomiast wszystkie kostiumy szły były ze zdobycznych niemieckich mundurów SS, SA. Miały one oryginalne barwy, bo przecież nie dysponowaliśmy farbami ani odczynnikami chemicznymi. Potrzeba kostiumów stylowych zrodziła się dopiero przy „Ślubach panińskich”. Szyłyśmy je nie z prześcieradeł, ale z gazy darowanej nam w lazaretach. Nakładaliśmy je na mundury i to były nasze umowne stroje teatralne.

● Podobno gdy ze sceny krzyknęto w antyhitlerowskim wierszu „alle raus!” — widzowie w panice rzucili się do ucieczki. Domyślałam się, że widzami byli wówczas cywile.

— Przywołała pani incydent z Lublina, kiedy przyszła na nasze przedstawienie publiczność z miasta. Do momentu przekroczenia granicy widzami byli wyłącznie żołnierze. W Lublinie zostaliśmy nieco dłużej. Tam dojechali do nas wspaniali przedwojenni aktorzy, którzy ocalili w tej poździej i Jacek Wyszczero-wicz wyreżyserował „Wesele”, z którym wyruszyliśmy na Ziemię Odzyskaną. W Łodzi Władysław Krasnowiecki przekazał władzę nad teatrem Schillerowi, który nadjechał z obozu w Lingen. W niedługim czasie, z grupą aktorów z podziemnego PIST, w której byli Zofia Mrozowska i Andrzej Łapicki, zdałam egzamin dyplomowy.

● Nie czuła się Pani zdeprymowa-

wana występując obok zawodowych aktorów?

— Spotykałam się z ich strony z wielką życzliwością i serdecznością. A poza tym byłam bardzo młoda i miałam w sobie wielką radość tworzenia. No i dobre samopoczucie, które w tym wieku jest stanem naturalnym. Pamiętajmy, że dopiero z biegiem lat nabieramy krytycznego spojrzenia, ogarniają nas wątpliwości, poznajemy smak goryczy.

● Intryguje mnie Pani decyzja. Jako ochotniczka wstąpiła Pani do wojska. Była to I Dywizja im. Tadeusza Kościuszki. Nie bała się pani być frontowym żołnierzem?

— Gdyby i pani mogła podczas wojny zostać żołnierzem, przypuszczam, że nie miałaby pani oporów.

● Nie wiem. Może obawiałabym się, że na froncie szybciej stracę życie niż gdzie indziej.

— W czasie wojny z taką możliwością każdy się liczył. Dla nas wielką sprawą była możliwość uczestniczenia w wojnie i szansa powrotu do kraju. Nie byłam przecież jedyną kobietą. Natomiast nieliczne spotkało szczęście znalezienia się w batalionie fizylierek.

● Niedługo po wojnie przyjechała Pani z teatrem, nazwanym już „I Armii Wojska Polskiego”, do stolicy. Pokazaliście w niej „Krakowiaków i górali”. Wszędzie były jeszcze gruz, rumowiska. Gdzie więc występowa-
waliście?

— Pod gołym niebem. Na kortach przy Myśliwieckiej.

● Jak czuła Pani tamtą Warszawę?

— Przywieziono nas tylko na Myśliwiecką i zaraz po przedstawieniu wróciliśmy do Łodzi. Proszę nie zapominać, że już wcześniej przejechaliśmy przez całą Polskę. Widzieliśmy Kraków, Ziemię Odzyskaną. Mówić, że to co zobaczyliśmy poruszyło nas, wstrząsnęło byłoby rzeczą banalną. Od momentu przekroczenia granicy, wejścia do Lublina, Majdanka silnych wrażeń nam nie brakowało, jeśli mówić o tym cynicznie.

● Mam wiele uznania dla Pani aktorstwa, w którym rozpoznaję mądrość, ciepło artystki. Dostarcza Pani ludziom wzruszeń. Ciekawe co Panią wzrusza?

— Nie lubię mówić o moich psychicznych odczuciach. Co innego na scenie lub na planie filmowym. Aktorstwo jest zawodem, który polega także na tworzeniu i wywoływaniu emocji.

● Ma Pani bogatą filmografię. Przeważają w niej role kobiet doświadczonych przez los, dotkniętych smutkiem. Kiedy przebrzmiała moda na bohaterów ludowych reżyserzy filmowi zapomnieli jakby o Pani.

— Cóż... tak mnie widziano, tak obsadzano. Jeśli miałabym wymienić ważne dla mnie role filmowe, ograniczyłabym je do trzech, może czterech, a wystąpiłam w pięćdziesięciu. Raczej nie miałam okazji wypowiedzieć się w filmie. Przeto nie twierdzę, że byłam aktorką filmową.

● Zajęcia ze studentami warszawskiej PWST, gdzie jest Pani profesorem, wynikały z niedosytu, czy była to decyzja w pełni zaplanowana?

— Tak jak nie marzyłam, żeby zostać aktorką, tak i decyzję podjęcia pracy dydaktycznej zrodził w pewnym sensie przypadek. Asystenturę na uczelni zaproponował mi profesor Kreczmar. Zresztą ku mojemu zdziwieniu, bo na scenie byłam zaledwie kilka lat. Przeszłam wszystkie szczeble nauczycielskie: od adiunkta przez docenta do profesora zwyczajnego. Jeśli dziś mogę powiedzieć, że w moim zawodzie spełniło się to, co chciałam osiągnąć, to stało się tak dzięki pracy na PWST. Kreczmar nauczył mnie uczyć. Nigdy nie traktowałam tej pracy zastępczo. Nie starałam się wypełnić nią niedosytu jaki przynosiło czasem aktorstwo.

● Jacy są dzisiejsi studenci PWST? Czym różnią się od tych, z którymi zdawała Pani egzamin aktorski? I czy można w ogóle Was porównywać?

— Oczywiście, że można — dlaczego nie? My byliśmy młodzi i oni są młodzi. My natomiast nie byliśmy rozpieszczeni. Byliśmy bardziej samodzielni. Dzisiejszym studentom nie zawsze na dobre wychodzi nadopiekuńczość jakiej doświadczają w „szkole — inkubatorze”.

● Zbyt łatwo poddają się frustracji, załamują się?

— Owszem, spostrzegłam i takie ich stany. Los niektórych bywa nawet tragiczny. Ale każdy zawód artystyczny niesie takie niebezpieczeństwo. Na to nie ma rady, ani żadnej recepty. Nasze życie artystyczne też nie było ustane różami. Gdyby się mu bliżej przyjrzeć wcale nie było wolne od cierni. Znalazłabym kilku aktorów, zwłaszcza aktorek, których nazwiska nic pani nie powiedzą. I wcale nie dlatego, że tym ludziom zabrakło talentu.

● Młodzi aktorzy mają chyba mniejsze poczucie wartości, jeśli nie osiągają popularności ekranowej.

— Chyba nie. Nadal ważny jest dla nich teatr. Aktorzy dość sceptycznie odnoszą się do tak zwanych sukcesów ekranowych. A są wśród nas i tacy, którzy prawie nigdy w filmie nie występują. I oni są w środowisku cenięni, podziwiani. Tak jest na całym świecie, również w Ameryce, gdzie nie są powszechnie zna-

ni aktorzy teatralni, nawet ci najwybitniejsi.

● Co Pani chce przekazać swoim studentom — technikę gry, rutynę, wrażliwość...?

— Staram się nauczyć ich zawodu. A w tym jest wszystko: technika, wrażliwość, poczucie humoru, refleks, wyobraźnia... Moja rola polega na uzmysłowieniu im czy mają to w sobie, czy też nie i czy te umiejętności można w nich rozbudzić. Czas, w którym budujemy emocje jest czasem scenicznym, przyspieszonym, więc ta psychiczna gimnastyka jest niezbędna.

● Znane i lubiane — nie tylko w Warszawie — są Pani monodramy np. „Ballada o Januszku”, „Róża jest różą”. Ich dramaturgia jest tak gęsta, że starczyłoby jej na pełnoobsadowy spektakl. Czy sama je Pani reżyseruje? Wiem, że zdobyła Pani kwalifikacje i w tej dziedzinie.

— Nie, sama tego nie robię. Lubię mieć reżysera, kogoś kto ogarnia i panuje nad całością przedstawienia. Ale trzon roli sama muszę stworzyć. Biada aktorowi, który prosi reżysera, żeby lepił w nim jak w glinie. Zgłaszają się do mnie często autorzy i przynoszą epickie utwory w przekonaniu, że to gotowy materiał na monodram. Tymczasem jest on specyficznym gatunkiem, a nie opowieścią o jakiejś sprawie. Musi być w nim dialog, polemika z człowiekiem czy ideą. I tak Alicja Toklas stworzyła sobie tę Gertrudę, z którą się kłóci, przekomarza. Jeśli nie mam na scenie partnera, muszę go sobie wykreować, żeby to, co przedstawiam miało nerw dramaturgiczny. Często się zdarza, że najwspanialsza nawet proza nie nadaje się na monodram.

● Czy „Ballada o Januszku” nie spotkała się u publiczności nie przygotowanej na tak naturalistyczny spektakl z nieprzychylnym odbiorem?

— Poproszono nas kiedyś z Henrykiem Talarem, ku naszemu zdziwieniu, a potem ku wielkiej satysfakcji, abyśmy tę rzecz przedstawiali w więzieniach. Tak prawidłowa reakcja samokrytyczna, autoironiczna była dla nas wielką nauką życia. Właśnie ten spektakl okazał się dla więźniów niesłychanie potrzebny. Sądzę, że mógł mieć nawet znaczenie katartyczne. Uważam więc to za zaproszenie za bardzo śmiałe i mądre.

● To ma Pani szczęście, bo często do teatru przychodzą widzowie przypadkowi. Wtedy dla nich i dla aktorów wieczór jest nieudany.

— Ja też wiem czym są wycieczki „Gromady”. dowożenie na przedstawienia zmęczonych, przytłamszonych ludzi. Każą im się wysilać na przedstawieniach, do których nie sa

LISKI

W ZBU
WARSZAWIE
WYSTĘPOWALIŚMY
POD GOŁYM
NIEBEM



przygotowani. Wtedy my aktorzy czujemy się niepotrzebni. Ale częściej spotykam się z dobrym przyjęciem. Kiedyś na monodram „Róża jest różą”, który pokazałam młodzieży ze starszych klas licealnych, przyszły uczennice ze szkoły przyklasztornej. Byłam nieco zażenowana, bo rzecz dotyka problemów drastycznych obyczajowo i moralnie, także miłości lesbijskiej. Ale dziewczęta przyjęły występ bardzo mądrze, z pełną tolerancją, bez cienia pruderii.

● **Wierzy Pani, że ludzie w teatrze szlachetnieją? Wierzy Pani w siłę sztuki, Jej posłannictwo?**

— Posłannictwo...! Znowu słowo, którego nie lubię, ale nie będę się klócić o słowa. Pisarstwo też jest posłannictwem, tyle tylko, że niektóre książki czyta się w pociągu, niektóre do poduszki, a tylko do niewielu wraca się kilka razy. Nie rozgraniczałabym też sztuki na telewizyjną i sceniczną. Obie są sztuką i dają możliwość zetknięcia się z problemem poprzez aktora. Ale żeby teatr łagodził obyczaje, podnosił na duchu?... Może na godzinę, na jeden wieczór. Kiedy się przechodzi w szpitalu ciężką chorobę myśli się, że po wyzdrowieniu zacznie się żyć inaczej, mądrzej. A potem okazuje się, że życie jest takie samo...

Wczoraj miałam ciężki, pracowity dzień i po przyjeździe do domu odurchowo włączyłam telewizję. Był akurat program o dzieciach niepełnosprawnych umysłowo. Bez większej uwagi spojrzałam w ekran i okazało się, że nie mogłam odebrać od niego wzroku przez blisko dwie godziny. Patrzyłam jak urzeczona i coś dusiło mnie w gardle. Następnego dnia grałam, robiłam różne rzeczy, a tamte wrażenia ciągle tkwiły w moich myślach. Jeśli więc mogę mówić o przeżyciu to właśnie doznałam go podczas tamtego programu, a nie po obejrzeniu jakiegoś dramatu scenicznego.

● **A zirykowało Panią, gdy mówiłam o wzruszeniach... Czy domyśla się Pani dlaczego jest Pani ludziom tak bliska?**

— Czy ja wiem... Zdaję sobie sprawę, że jestem popularna. Ale nie jest to wyłącznie zasługą moich umiejętności. Istotnie jestem „typem psychofizycznym”, z którym prawie każdy może się identyfikować. Każdy mógłby postawić się w mojej sytuacji w tych rolach oczywiście, które oglądają, zwłaszcza w telewizji. Dlatego jestem uważana za kogoś bliskiego. I może dlatego tak mnie akceptują. Są aktorzy, których się podziwia. Oni są z Olimpu. Są też tacy jak ja — tacy „sami swoi”.

Rozmawiała:

Marta Sztokfisz